

Po 22 latach na czele podbeskidzkiej „Solidarności”

Odpoczynek bojownika

68-letni bielszczanin Marcin Tyrna był przez 22 lata liderem podbeskidzkiej „Solidarności”. W wyborach związkowych, które odbyły się w czerwcu tego roku już nie wystartował, uznając, że trzeba ustąpić miejsca młodszemu. O doświadczeniach - dobrych i złych - z lat, gdy był przewodniczącym Zarządu Regionu Podbeskidzie NSZZ „Solidarność” rozmawia z nim Zdzisław Niemiec.

- Ciężko było podjąć decyzję?

- Ciężko się przestawić, ale cóż, jestem w wieku emerytalnym. Uznałem, że to oczywisty czas na zmianę. Pokazałem związkowcom, że można odejść w sposób naturalny, spokojny. Przed wyborami w Regionie ogłosiłem, że przechodzę w stan spoczynku. Ale okazało się, że to, co powinno być naturalne, wywołało wśród niektórych ludzi ogromne emocje. Mielismy więc trudny okres podczas związkowej kampanii wyborczej. Były zagrożenia radykalizacją i nierealnymi, księżycowymi pomysłami, ale wybór nowego przewodniczącego Zarządu Regionu jest moim zdaniem optymalny i trafiony. Z dużą nadzieją patrzę na ekipę, która będzie kontynuować naszą walkę. Jestem o Region Podbeskidzie spokojny.

- Jest pan związkowcem, ale też politykiem. Przez 8 lat zasiadał pan w Senacie, był jego wice-marszałkiem. Nie było to łączenie ognia z wodą?

- Jestem z gruntu związkowcem, moje życie związane jest z „Solidarnością”. Najważniejsza była zawsze dla mnie walka o godność ludzi pracy. To jest sens mojego działania. Wiem, co to jest ciężka praca, fizyczny ból, zagrożenia, brak pieniędzy, choć pracowałem w zakładzie w miarę dobrze funkcjonującym, jakim była Fabryka Maszyn Włókienniczych Befama. W polityce nie czułem się najlepiej, ale uważam że „Solidarność” nie może być apolityczna, jak po rozpadzie Akcji Wyborczej Solidarność uznała część naszych związkowców z innych regionów. Tłumaczyłem im wielokrotnie, że powinniśmy mieć swoich reprezentantów w najważniejszym ośrodku decyzyjnym państwa, jakim jest parlament, by pilnować spraw ludzi pracy. Nie lękamy się, że ktoś załatwi to za nas, bez nas. Moje doświadczenia z pracy w Senacie, a teraz działania Stanisława Szweda w Sejmie dowodzą, że można być skutecznym związkowcem i posłem, nawet będąc w opozycji. Za czasów AWS-u wywalczyliśmy na przykład emerytury pomostowe, zapewniające skromną egzystencję. Potem nie było nas w parlamencie i pomostówek już nie ma. Tracisz pracę i zostajesz na lodzie!

- A ci, co pracę mają, narzekają na niskie zarobki...

- No właśnie. Po co chodzimy do pracy? Po to, by solidnie pracując, otrzymać godziwe wynagrodzenie pozwalające utrzymać siebie oraz swoją rodzinę i żyć godnie. A z tym jest źle. Nie zgadzam się z tezą, która teraz dominuje w Europie, że najważniejsze jest zapewnić minimalną płacę. Otóż to minimum nie wystarcza. Mówiłem wielokrotnie, że płaca powinna być wykładnikiem kosztów utrzymania. Nie może być tak, że człowiek pracujący uczciwie osiem godzin dziennie dostaje bardzo niską pensję i nie jest w stanie utrzymać siebie i rodziny. Taka sytuacja kompromituje nas wszystkich - rządzących, a także związkowców, którzy się na to godzą. Tu czuję głęboki niedosyt.

- A jak pan ocenia warunki, w jakich przyszło przez te lata działać związkowcom?

- Nie ma alternatywy dla związków zawodowych. Nie wypracowano w świecie innego modelu skutecznego przedstawicielstwa ludzi pracy. A w Polsce rządzący i biznesmeni prowadzili nagonkę, by ruch związkowy zniszczyć. Po części się to udało. W efekcie mamy najniższe uzwiązkowanie w Europie. Niech więc ludzie pracy pomyślą: w jaki sposób chcą się bronić, nie mając wsparcia w postaci związku zawodowego? Złudą jest myślenie, że sobie poradzą, jeśli nie będą dobrze zorganizowani. A warto pamiętać, że „Solidarność” dbała przez te lata o podnoszenie kwalifikacji, by związkowcy byli partnerem dobrze przygotowanym do negocjacji z pracodawcami i władzą. Organizowaliśmy sympozja, szkolenia, korzystaliśmy z doświadczeń zagranicznych central związkowych. Starałem się, by wiedza ekonomiczna związkowców była systematycznie podnoszona.

- Wielokrotnie mówił pan, że rządzący zawiedli i w obronie miejsc pracy stawali tylko związkowcy. Które akcje były najtrudniejsze?

- Zdołaliśmy kilka strategicznych spraw załatwić. I nie zrobiłem tego samodzielnie ja, ale - co zawsze podkreślam - wspólnie ze związkowcami z Regionu. Przede wszystkim udało się nam w dramatycznych okolicznościach zatrzymać na naszym terenie zakłady Fiata Auto Poland. To zasługa nas, związkowców, między innymi nieżyjącego już Jana Frączka. Włosi zostali tu nie tylko dzięki stworzeniu im korzystnych warunków inwestycyjnych, ale docenili również wysoki potencjał profesjonalny pracowników. O preferencje ekonomiczne dla Fiata musieliśmy ostro walczyć. Mamy ewidentny udział w stworzeniu w Bielsku strefy ekonomicznej. I to się opłaciło. Dziś rządzący chwalą się, że mamy w regionie bielskim niskie bezrobocie. Zapominają dodać, że to efekt tego, iż dzięki naszej walce po zapasici przemysłu wełnianego, lekkiemu i budowy maszyn włókienniczych rozwinęło się tutaj zagłębie motoryzacyjne. Jednocześnie zadrą w moim sercu pozostaje Befama, z którą byłem związany przez całe zawodowe życie. Państwo nie chciało nam pomóc w uratowaniu tej fabryki. To moja, ale nie tylko moja porażka. Na szczęście jest kilka podmiotów gospodarczych, które na jej bazie funkcjonują.

- Ma pan opinię człowieka umiarkowanego, nastawionego nie na burzenie, lecz na współpracę, budowanie. Akcje strajkowe, protesty uliczne były na Podbeskidziu rzadkością. Czy wykorzystywał pan bardziej możliwości negocjacji, rozmów, także kulturalowych?

- Akcje bezpośrednie, wywieranie presji, zawsze uważałem za przejaw słabości związku. Skoro nie potrafiliśmy załatwić czegoś na spokojnie, pozostało wyjść na ulicę. A dyskretne, kuluarowe negocjacje i rozmowy na różnych szczeblach faktycznie przynosiły efekty. Gdy chcąc zatrzymać u nas Fiata walczyliśmy o strefę ekonomiczną, wi-



cepremier Leszek Balcerowicz był temu ostro przeciwny, ale przekonaliśmy do tego premiera Jerzego Buzka i sprawa została załatwiona. A gdy zwolniono przewodniczącego „Solidarności” w Polifarbie, uruchomiłem różne kanały negocjacyjne, łącznie z przewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Osiągnęliśmy cel przez presję pod zakładem, ale też poprzez negocjacje i mediację. Bo nie może być karany zwolnieniem ktoś, kto działa na rzecz pracowniczej wspólnoty.

- Ewenementem w skali kraju była w 2003 roku obrona czechowickiej kopalni Silesia, którą chciano zlikwidować. Doszło

do dramatycznego strajku pod ziemią...

- Postawiliśmy się, broniliśmy długo tej kopalni. Mało tego, znaleźliśmy inwestora. I udało się. Z czeskim właścicielem Silesia stanęła na nogi, dwa tysiące ludzi wróciło do pracy i jest nadzieja na dalszy rozwój.

- Zastąpiliście instytucje państwa, a przecież to one powinny były zająć się ratowaniem kopalni?

- Tak, a państwo miało tylko jeden pomysł. Zamknąć, zalać kopalnię, losem załogi się nie przejęło. Zresztą innego pomysłu, prócz zamykania kolejnych kopalni, nie ma na całe górnictwo. Takich naszych ewidentnych zwycięstw, gdy broniliśmy licznych miejsc pracy, było więcej. Doszło na przykład do ostrego śpięcia w bielskiej Fabryce Akumulatorów. Był nawet strajk głodowy. Nie chodziło tylko o kwestie płacowe, ale też o stworzenie lepszych warunków pracy. Ponieważ praca tam zagrażała zdrowiu, wymusiłoby, by instytucje kontrolne wypełniały rzetelnie swe zadania i doprowadziły do poprawy w tym zakresie. I tak się stało.

- Nowością w skali kraju były także publiczne wysłuchania parlamentarzystów, organizowane na bielskim placu Chrobrego. Nawiasem mówiąc tym samym tropem poszła „KB”, od dwóch lat publicznie - na łamach - odpytując parlamentarzystów w rubryce „Po co nam posel?”. A jaki był pana cel?

- Uznałem, że może to być jedyna z demokratycznych form dialogu społeczeństwa z władzą. Można było poddać parlamentarzystów pod ocenę opinii publicznej, pytać, co i dlaczego zrobili. Ale z przykrością muszę powiedzieć, że „Solidarność” w innych regionach tego pomysłu nie podchwyciła. Nie potrafimy jeszcze z takich demokratycznych narzędzi kontrolowania władzy korzystać. Jednak pozytywnie oceniam ogólnopolską akcję „Sprawdź polityka” - to taka krajowa kontynuacja naszych podbeskidzkich publicznych „przesłuchań” parlamentarzystów.

- Przechodząc na emeryturę zrobił pan życiowy bilans?

- Tak. Zastanawiałem się nieraz dlaczego ja, frezer z Befamy, mogłem przez tyle lat w tym dziele uczestniczyć. Decydowały chyba predyspozycje, które miałem i były doceniane, ale też oceniane przez związkowców. Pamiętajmy, że co cztery lata byłem weryfikowany, stając do wyborów na przewodniczącego zarządu podczas zjazdów Regionu Podbeskidzie. Przez osiem lat łączyłem tę funkcję z funkcją senatora. Uważam, że zarówno wśród ludzi pracy, z których jednym byłem, jak i w parlamencie, doceniono moją uczciwość i prawdomówność. Starałem się zawsze mówić otwarcie o trudnych sprawach, stawałem zawsze po stronie ludzi pracy, bo to była moja misja.

Jestem przekonany, że to, co się w moim życiu działo, nie jest dziełem przypadku. Jako człowiek wierzący, widzę w tym palec Opatrzności: Pan Bóg chciał użyć takiego człowieka jak ja do określonych działań. Czy spełniłem tę misję? W pewnych obszarach tak, w innych niestety nie udało się. Może moje marzenia, zamiary były nadmierne... Zresztą nie wycofuję cię całkowicie. Pozostaję w Zarządzie Regionu, chcę służyć pomocą. Zwieńczeniem naszych działań na Podbeskidziu będzie październikowy Zjazd Krajowy NSZZ „Solidarność” w Bielsku-Białej. Pokażemy naszą historię, osiągnięcia, doświadczenia. To satysfakcja także dla mnie, że region, choć nieduży, udało się utrzymać i jest jednym z najlepszych w kraju.